

## Wrzesień 1939 - front wschodni.

Lato było piękne tego roku...

Rozwieszane na rynku w Rudniku nad Sanem afisze obwieszczały powszechną mobilizację. Był ostatni dzień sierpnia. Najgorsze przypuszczenia i domysły dotyczące wybuchu wojny przerodziły się w mroczną rzeczywistość. Zgodnie z obowiązkiem rezerwisty, pierwszym transportem kolejowym udałem się do punktu zbornego w Radymnie. Tam otrzymałem mundur, broń, konia wierzchowego i przydział do 10-go Dywizjonu Taborów Konnych. Jako doświadczonego kawalerzystę 14-go Pułku Ułanów Jazłowieckich awansowano mnie do stopnia plutonowego i powierzono mi dowództwo 3-go plutonu.

Na miejscu, żołnierze w pełnym rynsztunku i gotowości bojowej, stacjonowali na obrzeżach miasta, obok starego folwarku ukrytego w liściastym zagajniku. Była godzina 14-ta, słońce grzało mocno, konary drzew leniwie kołysały się na wietrze. Znienacka nadleciały samoloty niemieckie, dokonując wstępnego rozpoznania terenu i bombardując nadciągające do Radymna tabory. Ponieśliśmy pierwsze straty. Wiele koni padło, wozy zostały zniszczone a ranne zwierzęta trzeba było puścić luzem. Mimo dogasającego ognia i resztek gryzącego, zalegającego dymu, wyczuwaliśmy unoszący się od strony stodół zapach świeżego siana i zżętego niedawno zboża.

W nocy dowódca Lenartowicz otrzymał z Kwatery Głównej rozkaz załadowania taborów i sprzętu na platformy podstawionego pociągu towarowego, który miał niezwłocznie wyjechać w kierunku zachodnim. Niewiele później przygotowania do ewakuacji wstrzymano. Rozkaz został odwołany, a nad ranem dowiedzieliśmy się, że pozbawiono nas dowództwa.

Ruszyliśmy w kierunku Przemyśla. Kierował nami porucznik piechoty, który przyłączył się do nas zastępując Lenartowicza. Jechaliśmy konno niestrudzenie, dniem i nocą, z rzadka odpoczywając. Po drodze zgubiliśmy kuchnię polową, głód dokuczał, panował ogólny chaos. Zagubieni, zdezorientowani żołnierze, szeptali, przekazywali sobie niepotwierdzone, wykluczające się wzajemnie informacje. W nastroju niepewności i niepokoju dotarliśmy do stacji kolejowej w miejscowości Busk-Krasne. Tam zostaliśmy zaatakowani przez Niemców. Lotnictwo niemieckie uderzyło błyskawicznie. Nalot był na tyle nieoczekiwany, że ledwie udało nam się schronić w przystacynnej olszynie. Samoloty wroga zbombardowały doszczętnie budynek stacji i wagony ze zbożem. Z ocalałą po bombardowaniu częścią taboru udaliśmy się nocą na wschód.

Po wyczerpującym marszu polnymi drogami znaleźliśmy się na przedmieściach Trembowli. Tu zaskoczył nas głośny gwizd i huk rakietnic oraz obecność wrażeń czołgów. Na ich widok polscy oficerowie zaczęli machinalnie odrywać z pagonów wszelkie dystynkcje, jakby przewidując koszmarną przyszłość. Z czołgów co rychło wyskoczyli żołnierze Armii Czerwonej z komendantem na czele, który wrzasnął pod adresem naszego dowódcy - "Ruki w wierch!" - Zostaliśmy rozbrojeni. W milczeniu złożyliśmy broń i pasy wojskowe. Ogarnęło mnie głębokie poczucie bezsilności. Kalendarz wskazywał datę: 16 września 1939.

Zgromadzono nas na dużym placu szkolnym, gdzie spotkaliśmy kolejnych towarzyszy wojennej zawieruchy z różnych rodzajów broni oraz granatowych policjantów i kolejarzy (Sowieci nie dostrzegali różnicy między mundurem policjanta i kolejarza). Nastąpiła segregacja wszystkich jeńców. Brutalnie odseparowano oficerów od szeregowców. Dla agresorów jakikolwiek identyfikator na epolecie oznaczał jedno - oficer czyli burżuj, wróg klasy robotniczej. Ze skromnymi trzema belkami znalazłem się więc w pierwszej grupie.

Zapadł zmrok, zrobiło się ciemno, zaczął rosić deszcz. W chłodzie spędziliśmy na placu całą noc. Wczesnym rankiem politruk skierował do nas następujące słowa: "My idiom aswabodit raboczyj narod. Nam waszej ziemi nie nada". Po czym w mało wybrednej formie zaatakował werbalnie polskich oficerów, używając inwektyw i nieparlamentarnych zwrotów. Z nieukrywaną satysfakcją zapowiedział również rezerwowaną nam "światlaną przyszłość".

Uformowano nas w kolumnę i popędzono w nieznanym kierunku. W ciągu dnia pogoda się poprawiła. Słońce mocno przygrzewało a na niebie nie było widać ani jednej chmurki. Ni stąd ni zowąd zarządzono postój. Rozległy się głośne okrzyki i nawoływania. W polowej kuchni jazgotały kucharki w mundurach przygotowując posiłek dla swoich. W sposób perfidny drażniły nas prezentując prowiant - makaron, cukier, herbatę - wiktuały, o których mogliśmy jedynie pomarzyć. Żołnierze powoli przystąpili do kopania rowów strzeleckich i ustawiania haubic.

Nagle powietrze rozdarły serie z karabinów maszynowych dobiegające od strony Trembowli. Artylerzyści radzieccy odpowiedzieli natychmiast ostrzałem z dział. Po krótkiej wymianie ognia zapanowała cisza. Od ludności cywilnej dowiedzieliśmy się, że ataku dokonała polska jednostka strzelców wyborowych.

Wyprowadzono nas na główną szosę wiodącą na wschód. Po drodze zbierano uciekinierów, policjantów, żołnierzy ochrony pogranicza. Jeńców polskich było tak dużo, że całości kolumny nie dawało się ogarnąć wzrokiem. Po obu stronach szosy jechali konno Sowieci z karabinami na sznurkach, w szpiczastych budionówkach, drelichowych mundurach i brezentowym obuwiu. Kolumną kierował oficer sztabowy w towarzystwie dwóch młodszych funkcyjnych. Prowadzili nas cały dzień o głodzie, bez kropli wody, bez odpoczynku w kierunku ówczesnej granicy polsko-sowieckiej. Przypadkowo napotykanne Polki rzucały nam kawałki chleba. Upał doskwierał, dokuczało pragnienie, nogi otarte do krwi odmawiały częstokroć posłuszeństwa.

W kolumnie jeńców szedłem blisko pobocza drogi. W pewnym momencie kątem oka dostrzegłem nadchodzącego z przeciwnej strony, mojego kolegę z Rudnika, ubranego po cywilnemu granatowego policjanta pracującego w Trembowli, Bronisława Serafina. Rozpoznał mnie w tłumie i nie zwalniając kroku wyszeptał półgłosem: "Ratuj się, wywożą was do obozów". Natychmiast zrodziła się we mnie szalona myśl ucieczki.

W Kopyczyńcach zatrzymaliśmy się na nieco dłuższy postój. Dominowało ogromne, powszechne zamieszanie. Jak okiem sięgnąć setki rozbrojonych polskich oficerów tworzyły skłębioną, szarą masę. Ponad stłoczoną ciżbą ludzką górował budynek szpitalny z widniejącym na dachu dużym, czerwonym krzyżem. Moje plany ucieczki przedstawiłem niektórym kolegom. Bali się. Tylko dwóch zaoferowało współpracę: Jan Świniuch z Rudnika i Stanisław Warchoń z Koziarni. Wykorzystując chwilę nieuwagi strażników, udało nam się wśliznąć na teren szpitala. Natknęliśmy się tam na młodą, polską sanitariuszkę z Zaolzia. Radziła uciekać, zadeklarowała swoją pomoc. Zaleciła zdobyć cywilne ubrania i bezzwłocznie do niej wrócić.

Szanse realizacji przedsięwzięcia malały z minuty na minutę. Decyzję należało podjąć natychmiast. Przez szpitalne okno widać było umęczone twarze jeńców leżących, siedzących lub śpiących na stojąco. Po chwili rozległ się chrapliwy dźwięk trąbki. Sygnalista odtrąbił wymarsz z miasta. Jeńcy powstali z miejsc i kolumna sformowała się, gotowa do odejścia. My pozostaliśmy w szpitalnej kryjówce. Musieliśmy za wszelką cenę zdobyć ubrania cywilne. W sukurs przyszła ochotczo pewna Polka, która oceniwszy położenie, w zbożnym odruchu wyniosła z domu płaszcz, marynarki, spodnie i obuwie. Otrzymałą odzież ukryliśmy skrzętnie pod obszernymi kawaleryjskimi szynelami i weszliśmy do podziemia szpitala. Tutaj przebraliśmy się w pośpiechu. Butów nie zabrakło, ja zatrzymałem oficerki. W międzyczasie pielęgniarka przygotowała karty wypisu ze szpitala z adnotacją, szpitalną pieczęcią i podpisem lekarza medycyny W. Schmetterlinga. Cierpliwie przeczekaliśmy w podziemiach odejście kolumny i po kryjomu opuściliśmy szpital, żegnając tym samym Kopyczyńce. Czekala nas długa, bardzo trudna i niebezpieczna droga powrotna,.

Opuścić strefę frontową - oto zadanie jakie stanęło przed nami. Unikać za wszelką cenę obecnych wszędzie żołnierzy sowieckich i tajnych agentów NKWD. Postanowiliśmy trzymać się szosy w kierunku Trembowli. Szliśmy nieprzerwanie, odpoczywając w rowach. Zarośla i chruśniaki służyły nam za kryjówkę. Po przebyciu kilkunastu kilometrów znaleźliśmy się na pustej, niczym nie osłoniętej przestrzeni. Drogą bez przerwy ciągnęły czołgi i samochody wypełnione jeńcami. Ukrycie się gdziekolwiek graniczyło z cudem. Z duszą na ramieniu brnęliśmy dalej. Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, z jednej z wielu nadjeżdżających ciężarówek pomachał mi ręką Broniek Serafin, ten sam, który wcześniej ostrzegał mnie przed wywózką do obozów na terenie ZSRR. Stałem jak wryty, scena kompletnie mnie zszokowała, trwoga wypełniła duszę po brzegi. Domyślałem się co może go czekać. Z wielką ulgą pozostawiliśmy za sobą puste pola i wkroczyliśmy na teren bardziej przyjazny, bo zadrzewiony. Dzień dobiegał końca. Brudni i głodni schroniliśmy się w pierwszej napotkanej stodole. Usnęliśmy z miejsca.

O świcie zaczął się kolejny etap naszej peregrynacji. Żywiliśmy się dostępnym o tej porze roku runem leśnym, owocami z przydrożnych sadów, piekliśmy często ziemniaki wykopane w polu, piliśmy wodę ze strumyków. Z czasem dotarliśmy do Żółkwi. Przenocowaliśmy w budynku 6-tego Pułku Strzelców Konnych, gdzie uraczono nas wspaniałym, chrupiącym bochnem chleba. Jego smak pamiętam do dzisiaj. W mieście spotkaliśmy grupkę uciekinierów. Strach na wróble mógłby im pozazdrościć przyodziewku. Byli to dobrzy znajomi z Rudnika: ksiądz Antoni Raiser, Leon i Czesław Boryczkowie, Bolesław Ramocki oraz dwaj nauczyciele rudnickiego gimnazjum - Tadeusz Górski i olimpijczyk z 1936 roku, Bronisław Gancarz. W poszerzonej grupie dziewięciu osób opuściliśmy Żółkiew.

Po kilku dniach morderczej wędrówki wojenny scenariusz zafundował nam sytuację mrozącą krew w żyłach. Na rogatkach Sieniawy, w najmniej oczekiwanym miejscu, kiedy już zostawiliśmy miejscowość za plecami, dopadł nas niemiecki patrol. Wylegitymowano wszystkich. Niemców zainteresowała szczególnie moja osoba. Zdradziły mnie żołnierskie buty. Z pomocą pośpieszył Tadek Górski, którego dobra znajomość języka niemieckiego umożliwiła elementarną wymianę zdań a karta ze szpitala kopyczyńskiego przekonała Szwabów o tym, że mają do czynienia z cywilami. Wyszedłem cało z opresji. Udało się - po raz pierwszy.

Dzień chylił się ku zachodowi, ciepły i bezchmurny, gałęzie drzew zwisały pod ciężarem jabłek i gruszek, dym z kominów zapowiadał nadchodzącą wieczność. W optymistycznych nastrojach, podniesieni na duchu, zapomnieliśmy o prawie trzech tygodniach poniewierki. Mimo, że teoretycznie ciągle jeszcze czyhały na nas rozliczne niebezpieczeństwa, ogólnie wszystko zmierzało ku lepszemu. Resztkami sił dotarliśmy do majątku Boryczków we wsi Kamionka, gdzie udzielono nam gościny i noclegu. Gospodarze nalegali, żeby zostać dłużej, lecz nas gnało do rodzin, do bliskich. Podziękowaliśmy zatem i wyszliśmy na drogę do Rudnika. Kilka dni później dowiedziałem się, że po naszym odejściu cała rodzina Boryczków została bestialsko wymordowana. Niebiosa mnie oszczędziły - po raz wtóry. Czy masakry dopuścili się zwolennicy wprowadzenia nowego porządku europejskiego? Do dzisiaj nie wiadomo.

Koniec tułaczki przybierał coraz bardziej realne wymiary. Wreszcie długo oczekiwana przeprawa przez San, znane zarośla wiklinowe, dworskie pola i Górka. Koledzy skierowali się do swoich domostw, ja dochodziłem już do drogi przed cmentarzem, gdy ze zgrozą spostrzegłem żołnierzy Wehrmachtu eskortujących grupę jeńców. Zmuszony do odwrotu, schroniłem się u mieszkającego nieopodal kapelmistrza Jana Koptury. Gdy zagrożenie minęło, niesiony entuzjazmem pobiegłem wręcz przed siebie, by dotrzeć do celu. Ostatni odcinek, rzadki, mały las sosnowy na tyłach domu pani Pauliny Patronowicz. Jeszcze tylko czterysta metrów... I nagle wyrósł przede mną Niemiec! Całkowicie sparaliżowany, znieruchomiałem. Tysiące myśli zakłębiły mi się w głowie: tyle ryzyka, tyle wyrzeczeń, tyle wysiłku - wszystko stracone!... Ale wydarzyło się coś niewiarygodnego. Niemiec omiótł mnie wyjątkowo lodowatym wzrokiem, by po chwili wahania puścić mnie wolno. Opatrzność czuwała nade mną - po raz trzeci. W ułańskich oficerkach, czarnym, wełnianym płaszczu z aksamitnym kołnierzem i podniszczonym kaszkiecie na głowie, odnalazłem wreszcie rodzinny próg. Przywitała mnie szczęśliwa żona z maleńką, uśmiechniętą radośnie córeczką.

Bronek Serafin nigdy do domu nie wrócił...

Leon Kobylarz  
Plutonowy 10-go Dywizjonu Taborów

Wspomnienia zebrała:  
Elżbieta Kobylarz-Beer (córka)

Opracowanie:  
Marek Kobylarz (syn)

Fotografie :



Tato w stopniu kaprała



14-ty Pułk Ułanów Jazłowieckich - Pluton Łączności  
Zwolnienie rocznika 1907 - Lwów, 24.11.1930  
Tato w górnym rzędzie, drugi od prawej